



Ignacy Krasicki

Między Biłgorajem a Tarnogrodem jest karczma w lesie; w tej gdy na popas stanąłem, postrzegłem siedzącego na podsieniu Kozaka, który, gdy mu zgasł tiutiun, poszedł do stajni i stamtąd zwinęty papier w trąbkę wyniósłszy zapalił go od końca, a przyłożywszy do lulki, gdy zgasły ogień rozniecił, rzucił papier na ziemię, sam wsiadł na konia i pojechał. Że reszta popieru nie dogorzała, podniosłem go i w małym, który się został, kawałku przeczytawszy te słowa: „Gdyśmy się więc przeprawiali przez rzekę, obróciwszy się Lech do sw...”, chcąc wiedzieć, co dalej następowało, pobiegłem na owo miejsce, gdzie Kozak chodził; tam w sienie pod żłobem znalazłem tę historią. Kto by się spodziewał takiego skarbu między Biłgorajem a Tarnogrodem?

* * *

Wszyscy o tym wiedzą, że w kraju Lugnagianów są ludzie takowi, którzy umrzeć nie mogą. Rodzaj tych nieśmiertelnych ludzi zowią Struldrugs. Sławny Guliwer*, autor rzetelności nieposzlakowanej, tak o nich pisze:

„Trafia się niekiedy, iż urodzi się dziecię z znamiem czerwonym, okrągłym, w środku czoła. Te znamie, oznaczające człowieka umrzeć nie mogącego, z początku nieznaczne, coraz się powiększa; od lat dwunastu do dwudziestu pięciu ma kolor zielonawy; staje

się potem błękitne, w czterdziestym piątym roku czarne jak węgiel i odtąd się nie odmieńnia. Ludzie takowi do lat trzydziestu podobnie żyją jak i drudzy; od tej pory tęskności niezwyčajnej doznawają; coraz się bardziej powiększa; a gdy do lat ośmiudziestą przychodzą, czują wszystkie przywary wieku tego; przeświadczenie zaś nieustannej trwałości napelnia ich rozpaczą i sprawia to, iż się stają nieznośnymi i sobie, i innym.”

Tego jestem rodzaju ja, który przypadki życia mojego pisać przedsięwzięłem. Urodziłem się w kraju Lugnagianów, w mieście Gannapp, i skoro rodzice fatalne znamie na czole moim postrzegli, napelnieni byli żalnością, iż

*Przypadki i podróże Guliwera opisane były przez sławnego Jonathana Swifta, dziekana kolegiaty św. Patrycjusza w Dublinie, mieście stołecznym Królestwa Irlandzkiego.

tak nieszczęśliwe stworzenie wydali na świat. Do lat ośmdziesiąt żyłem w ojczyźnie zwyczajnym trybem, ożeniłem się w dwudziestu pięciu. Szczęściem żona moja była niepłodna, oszczędziła mi przykrości żalowania straty przyszłych potomków. Umarła, gdy miałem lat siedmdziesiąt dziewięć, a że jej wyborne przymioty słodziły przykrość życia mojego, właśnie od czasu jej śmierci zacząłem czuć niezmierny ciężar trwałości mojej ustawicznej. Ci, z którymi od młodości miałem zachowanie, krewni, przyjaciele, wymarli, ich następcy stronili od nierównego wiekiem i sposobem myślenia towarzystwa. Współmiertelni, też mając co i ja przywary, nienawidzili mnie tak albo bardziej jeszcze niżeli ja ich; zgoła próżny ciężar ziemi, sobie przykry, innym nieznośny, w śmierci, której dostąpić nie mogłem, zakładałem największą szczęśliwość.

W tak okropnym stanie przetrwałem lat trzydzieści dwie; gdy jednego czasu, nie mogąc znieść wzgardy publicznej, z którą mnie traktowano, umyśliłem porzucić towarzystwo ludzi i wpośród dzikiego zwierza życie przepędzać, szczęśliwy, gdybym mógł zostać lupem ich żarłoczności. Nie wiedząc sam, gdzie idę, szedłem ku południowi i minąwszy wiele miast i wsi, nieznacznie zaszedłem w dzikie stepy, dalej w lasy nieprzebyte. Uważałem nie bez ciężkiego żalu, iż piętno nieśmiertelności mojej zrażało wszystkie zwierzęta. Lwy, dziki, tygrysy przechodziły koło mnie i wzgardę niby okazując, żadnej mi szkody, nawet przykrości nie czyniły.

Szedłem więc coraz dalej, przepływając bez żadnego niebezpieczeństwa rzeki szerokie i bystre, przebywając góry ledwo dostępne, przepaści głębokie. Że zaś mi gorącość powietrza zbyt mocno poczęła dokuczać, udałem się na północ i po długiej podróży upatrzyłem miejsce jedno dość przyjemne, gdzie między skałami piękną dolinę dzielił bystry, po kamykach spadający strumyk. Cień cedrów stoletnich uśmierzał upały słoneczne, a w pobliskiej skale jakby kunsztem ręki ludzkiej sporządzone pieczary stały mi się miejscem wygodnym dla spoczynku i ochrony. Kontent, ile w moim stanie być mogłem, przepędziłem w tym miej-

scu lat kilka. Gdy razu jednego, wyszedłszy pomiędzy skały a przypatrując się strumykowi, który z wielkim szumem z wierzchołku prawie jednej z nich spadał w dolinę, nieznacznie miłym ujęty snem, rzuciłem się pod cień niewielkiego drzewka i zasnąłem smaczno.

Obudziwszy się, drzewu temu wcale mi przedtem nieznanemu, zacząłem się przypatrywać, a postrzegłszy, że z drdzenia jego tłusta jakowaś masa na kształt żywicy wychodziła, wziąłem jej nieco i włożywszy w usta, uczułem smak przedziwny i tegoż momentu, nie wiem czy sen, czyli młodość tak mnie opanowała, iżem zupełnie od siebie odszedł. Obudziłem się, gdy świtać poczyniło, a żem około południa owej masy skosztował, mniemałem, więc, iż w tym stanie musiałem być godzin kilkanaście.

Czułem po przebudzeniu jakowaś odmianę i wewnętrzną rewolucję i ledwom sobie mógł wierzyć, gdy przedtem nie mogąc się prawie ruszyć bez pomocy laski, porwałem się rzeško i stanąłem na nogach. Nie oplonąwszy z pierwszego jeszcze zdziwienia, skoczyłem ku strumykowi i w czystej jego wodzie zobaczyłem się w postaci młodzieńca piętnastoletniego, bez zmarszczków, bez siwizny, a co najpożądane, bez owej szkaradnej plamy na czole. Ledwo mogło objąć serce moje zbytku radości. Tej impet pierwszy gdy się nieco ukoił, padłem na twarz i adorując najwyższą Opatrzność dziękowałem za tak wielkie dobrodziejstwo. Udałem się natychmiast do owego szczęśliwego drzewa. Z wielkim staraniem zebrałem wszystek ten zsiadły sok i napełniłem nim dość sporą puszkę w tej nadziei, że gdy do sędziwych lat będę przychodził, tym sposobem znowu może będę mógł odmłodnieć. Patrzałem, czyli podobnego drzewka w bliskości nie znajduję, ale zabiegi moje były próżne.

Chęć powrócenia do ludzi opanowała natychmiast serce moje, udałem się więc w tę stronę, jak mi się zdawało, z której przyszedłem; ale po trzymiesięcznej podróży żadnego człeka nie znalazłszy, resztę drogi odprawiałem już na domysł i po bardzo długim pielgrzymowaniu poznałem na koniec, iżem zaszedł do kraju mieszkalnego.

Widok kraju mieszkalnego osobliwą we mnie sprawił czułość. Przez lat kilka od towarzystwa ludzkiego oddalony, z jednej strony, pragnąłem mój rodzaj na nowo poznać; z drugiej, obawiałem się dawniej spróbowanych niesmaków; a do tego nie wiedząc, w jaki kraj i do jakich ludzi przyszedłem, byłem razem ciekawym i niespokojnym.

Z pierwszego wejścia kraj się wydawał piękny i ludny, role były dobrze uprawne, a z daleka widać było miasto, którego gmachy wyniosłe i okazałe utwierdzały mnie w zdaniu, że do narodu ćwiczonego, znajdującego się na rolnictwie i sztukach trafił. O kilkanaście staj od miasta postrzegłem na polu kilka domów niskich, mniej ozdobionych; wniosłem sobie, iż to były mieszkania rolnicze. Udałem się tam.

Odzież moja niezwykajna zadziwiła mieszkańców: dzieci, przestraszone, z krzykiem uciekły i pochowały się, a tymczasem zbliżywszy się ku mnie człowiek jeden sędziwy dał mi rękę na znak dobrego przyjęcia, mówił do mnie, ale ani ja jego języka, ani on mego zrozumieć nie mógł. Wszedłem do domu porządnego z owym gospodarzem, przyjął mnie z wszelką ludzkością, do stołu z sobą zaprosił. Gdy się uczta skończyła, domyśliłem z gestów jego, iż mnie prosił, abym się póty w domu jego zatrzymał, póki z miasta nie powróci. Przestałem na jego żądaniu, on zatem poszedł. Około zachodu słońca powrócił i z nim pięciu innych; z tych czterech musieli być żołnierze, mieli albowiem łuki w ręku i strzały w kołczanach; piąty, zapewne ich wódz, dał mi znać przez gesta, iż potrzeba, abym szedł z nimi do miasta; dodał i to gestami, iż mnie bierze na swoją porękę i nie mam się niczego obawiać. Szedłem natychmiast z nimi ochotnie.

Miasto było dość ozdobne, porządne i ludne. Domy inakszym, prawda, kształtem budowane niżeli u nas, przystojne jednak i wygodne. Zaprowadzono mnie do gmachu obszerniejszego nad inne; domyśliłem się, iż to było mieszkanie króla albo rządcy tego miasta. Nie byłem zaraz przypuszczony do audiencji, ale zaprowadzono mnie do jednej izby na ustroju; stanął u drzwi na warcie jeden z tych żołnierzy, którzy mnie przyprowadzili.

Wkrótce potem wszedł do mnie człowiek sędziwy, który przez gesta pokazywał, iż mnie będzie uczył języka tamtejszego; chętnie na tym przestałem i pokazałem, iż mam wielką do tego ochotę.

Codziennie dwa razy przychodził do mnie ten nauczyciel i w kilka niedziel już mogłem rozumieć gadających, z czasem sam mówić dość dobrze nauczyłem się. Po czterech miesiącach nauki zaprowadzono mnie do rządcy. Odpowiedziałem na jego pytania dostatecznie, tając jednak moją trwałość i przymiot balsamu. Pudełko, gdzie był zachowany, było złote; bojąc się więc, żeby dla szacunku kruszca obywatela tamtejsi nie wzięli mi go, kazałem podobne z blachy zrobić, a dawniejsze darowałem mistrzowi, wprzód pilnie z niego maść ową wyjąwszy.

Kraj ten nazywał się Poro-stan, monarcha Poo-roch, którego Grecy według zwyczaju swego nazwali Porusem. Gotował się na wojnę, wieść się albowiem w okolicach rozeszła, iż lud jakiś od zachodu wojenny, pod wodzem bitnym i zuchwałym, wiele innych narodów zwojowawszy zbliżał się ku Indii.

Rozumiano zrazu, iż byłem szpiegiem tego wojska, i dlatego straż mi była przydana; gdy więc poznali, iż skądinąd przyszedłem, rządcą posłał mnie do króla. Nie było go w stolicy, wyszedł był albowiem z wojskiem, chcąc nad brzegami Hydaspu bronić wniścia tym zbójcom przychodnim i ich hersztowi, tak albowiem lud ten gruby nazywał Macedonów i sławnego w Europie dotąd Aleksandra.

Król, jakem był przed niego stawiony, nie czynił mi wiele kwestii, ale kazawszy mnie zmierzyć, a wiedząc, że miał wysokości stóp pięć i calów półjedenasta, wziął mnie do swojego pułku. Dano mi łuk, strzały, dzidę, jedną większą, drugą mniejszą; a że się nie umiał z tą bronią obchodzić, setnik tak rześisto względem mnie używał kija, iż w kilka dni stałem się rycerzem ćwiczonym i w mojej profesji biegłym. W naszym kraju ten rodzaj nauki nie był używany, ale też nie było rycerzów.

Ruszyło się w kilka dni wojsko nasze, ile że wieści coraz świeższe przychodziły, iż ów Aleksander, zwyciężywszy króla Taksyla, ku nam

się zbliżał. Część wojska była nad rzeką, pod komendą brata Porocha, Nazardynga. Król, przeświadczony o tym, iż przytomność monarchy w podobnych okolicznościach najwięcej dopomaga, spieszył się ile możności, ażeby całe wojsko zebrane razem broniło przejścia rzeki. (...)

Ześmy byli zwyciężeni, temu przeczyć nie mogę. (...)

Po nastąpionej porażce ja, który byłem na odwodzie i na moje szczęście stałem na warcie u namiotu Porusa, byłem wzięty w niewolę przez Eurydyka, rotmistrza pułku Ptolomeuszowego, który potem był królem Egiptu. Ten rotmistrz zaprowadził mnie do wodza swojego. Szczęściem podobałem mu się z pierwszego wejrzenia. A że zostawiono wolność powrotu żołnierzom indyjskim, kazał mnie się pytać Ptolomeusz, czylibym nie chciał przy nim zostać. Przestałem z ochotą na woli jego i byłem policzon między domownicy tego pana.

Udaliśmy się wkrótce z Aleksandrowym wojskiem ku morzu, ale wprzód odwiedziliśmy kraj Pambor. (...)

Wkrótce potem pierwszy raz doznał nieposłuszeństwa wojska swojego Aleksander i chcący iść dalej za Ganges, buntem żołnierzy tak był przestraszony, iż się nazad z wstydem i rozpaczą wrócić musiał. (...)

Od tej pory przestaliśmy wojować, a powrót nasz do Babilonu był ustawicznym tryumfem. (...)

Skorośmy wjechali do Babilonu, moda do dworu weszła pić jak najwięcej. Dworzanie, którzy dla przypodobania się panu karków sobie ponakręcali, widząc, że mógł wiele wina w dobrej ochocie znosić, poczęli wielbić w nim ten nadzwyczajny przymiot szczęśliwego przyrodzenia. Stąd emulacja, kto lepiej pana naśladować potrafi. Jeden dla tej przyczyny wypiłszy duszkiem półtora garnca starego wina umarł na placu, drugi dla zakładu oszalał, ja sam, upiwszy się wielokrotnie, dostałem febry kwartannej; byłbym może maligną przyplacił tej niewczesnej ochoty, gdybyśmy w domu dobrego lekarza nie mieli.

Aleksander, zwycięzca narodów, przyzwyczajony w każdym punkcie do pierwszości, mniemał, iż wielkość jego rozciągała się nawet do pijaństwa. Filip, lekarz (...) wszedł raz do sali bankietowej i zaczął nawracać do wstrzeźmieliwości Aleksandra. Ten, trzymając w ręku kielich wybornego wina, przedsięwziął nawrócić Fiipa. Skończyło się na tym, iż i króla, i doktora od stołu wyniesiono; nazajutrz legli obydwa. Doktor, nieprzyzwyczajony, leżał dwa dni bez panięci; Aleksander, wyszumiałszy się nieco, zaczął pić w najlepszą, i tak dobrze, iż powtórnie zaniesiony na łóżko, już z niego nie wstał. Czynił Filip, co mógł, ale przesilony temperament starania jego uczynił płonne. Umarł więc Aleksander, strawiony maligną. Następcy wyznaczyć nie mógł, bo był przez cały czas choroby bez zmysłów i przytomności. (...)

Jakie były skutki niewczesnej śmierci Aleksandra, historie tamtego wieku dość dokładnie opisują. Ptolomeusz, mój pan, jeden z najpierwszych wodzów pozostałego wojska, nie zapomniał o sobie w takowym razie. Charakter jego powolny i dobroczynny zjednał mu wiele przyjaciół. Z tych przywiązania ku sobie tak dalece korzystał umiał, iż uczyniwszy sobie znaczną partią, w podziale sukcesji Aleksandra zyskał Egipt.

Kilka lat przeszło w ustawicznym zamieszaniu, nim spokojnie odzierzył to królestwo. Przyszła na koniec ta dla nas szczęśliwa pora; osiadł tron zasłużony i stał się wzorem prawych monarchów. My wszyscy, słudzy, przyjaciele, krewni, staliśmy się uczestnikami szczęścia jego. Co się mnie w szczególności tycze, do pisania listów i aktów publicznych wzywany byłem; jedenastego zaś roku panowania Ptolomeusza zostałem najwyższym rządcą i dyrektorem ceł Aleksandrii. To miasto szczęśliwym swoim położeniem, a bardziej jeszcze staraniem monarchy, który w nim rezydencją swoją założył, stało się wielce handlowym, a przeto mój urząd, jeśli miał wiele pracy i zatrudnienia, z drugiej strony przynosił znaczne korzyści. Żebym był chciał iść zwyczajnym torem celników, byłbym może stokrotnie więcej na tym urzędzie zyskał; ale

kontent z znacznej pensji i zarobków godziwych, aprobacją pana mojego, szacunek obywatelów przenieśli nad nieprawę dostatki.

Czyniąc zadosyć obowiązkom urzędu mojego, wielokrotnie objechałem cały Egipt i jeszcze naówczas nie były zrujnowane zupełnie owe gmachy, które cudami świata zwano. Jednego razu uprosiłem sobie w towarzystwo podróży poufalego mojego przyjaciela; był to kapłan bałwochwalnicy Serapisa, nazwiskiem Harmon. Lubo naówczas nie był Egipt w takim stanie jak pod dawnymi królami, a przeto i nauki nie tak kwitnęły, przecież zacny ten mąż godzien był żyć pod panowaniem Sesostriasa. Wiedział on klucz hieroglifików i bardzo mi wiele dawnych napisów wrytych na piramidach, obeliskach i innych gmachach publicznych wytłumaczył. Zapisywałem je pilnie i całą relacją tej podróży mam jeszcze dotąd przy sobie. Wydam ją z czasem na świat, abym nie tylko dogodził ciekawości publicznej, ale odkrył wiele pożytecznych nauk, wynalazków i czegośmy dotąd nie mieli, dokładną chronologią i kronikę Egiptu od czasów Menesa, pierwszego króla, aż do Apriasa, którego Kambyzes zwyciężył.

Roku 2 olimpiady CXXIV, 27 marca, o godzinie dziewiątej z rana, Ptolomeusz, pierwszy król Egiptu, panowawszy lat przeszło czterdzieści nad Egiptem sprawiedliwie, bogobojnie i łaskawie, syt sławy i wieku, umarł. (...)

W odmęcie pierwiastków nowego panowania, dla poddanych częstokroć niebezpiecznym, szły łaski, kary, wyroki bez porządku, bez uwagi, bez braku. Dawni słudzy nowego monarchy, chcąc korzystać z dobrej chwili, nim się lepiej panu oczy otworzą, wydzielali mu z rąk łaski. Urząd przełożonego nad cłami Aleksandrii dostał się jednemu, drugi dom mój zyskał, trzeci pensją; nawet mały folwarczek, którym był za własne pieniądze nad brzegami Nilu kupił, odmienił pana, a mój następca był śpiewak Aretas.

Ogołocony ze wszystkiego bez pozwu, bez sądu, bez dekretu, udałem się do mego dawnego przyjaciela Eurylocha, który wraz ze mną przeszło trzydzieści lat nieboszczykowi służył. Był on strażnikiem portu Aleksandrii. Przy-

szedłszy do jego pałacu, gdy o pana pytałem, nowy odźwierny rzekł, iż pan pojechał tańcować. Zdziwiony tą odpowiedzią, gdyż Euryloch był kulawy, gdy odźwiernemu przyczynę zdziwienia mojego wyjawiał, rozśmiał się ten i w krótkich słowach wywiódł mnie z błędu, oznajmując, iż pałac ten był Eufara, tancmistrza. Zapłakałem nad takową odmianą i udałem się po radę, co mam czynić, do kapłana Izydy. Ten przeciągnął dysertacją przedsięwziął mi próbować, żem zasłużył na moje nieszczeście; że nowy pan nadto był oświecony, nadto pobożny (właśnie mu był sto wołów na ofiarę posłał), żeby nawet śmieć wątpić o sprawiedliwości czynów jego. Skończył dyskurs pobożnym westchnieniem i dał mi na drogę kwiatek z wieńca swojej bogini.

Bez domu, sprzętów, pieniędzy i usług, mając w zanadrzu puszkę z balsamem, w rękę ował kwiatek. (...)

Tegoż samego dnia wyszedłem z Aleksandrii.

Nie wiedziałem z początku, gdzie się udać. Poleciwszy się jednak Najwyższej Opatrzności szedłem ku zachodowi przez piaski Numidii i Libii, szukając jedynie takowego miejsca, gdziebym odłączony od towarzystwa ludzkiego, resztę wieku spokojnie strawił dotąd, póki by ostatnia zgrzybiałość nie przymusiła mnie do odmłodnienia; trwożny jednak, jakom wyżej wspomniałem, czyli mój balsam taką jak pierwiej będzie miał dzielność.

Gdy już był granice Libii minął, wszedłem w kraje nadmorskie pod panowaniem Rzeczypospolitej Kartagińskiej zostające. Wsie osiadłe, grunta dobrze uprawne, rolnicy majątni, miasta budowane, wszystko mi to dało uczuć i poznać, jakie pożytki handel za sobą prowadzi i jak szczęśliwe są te państwa, których rządcy, nie omamieni próżnej chwały chciwością – porządkiem, pracą, przemysłem uszczęśliwiają poddanych i siebie. (...)

Gdy się zbliżałem ku Kartaginie, spotkałem się z Hannonem, dobrym niegdyś przyjacielem moim; ten mnie od razu poznał, a widząc pieszo idącego, skoczył z wozu i przywitałszy mile, koło siebie w pojeździe posadził. Był ten

Hannon jeden z najcenniejszych obywateli Rzeczypospolitej; od dawnego czasu zasiadał w senacie, a przed czterema laty był sufetem, która godność w Kartaginie tak jak konsulów w Rzymie była najpierwsza i równie doroczna. Dobry ten Kartagińczyk poznał zaraz po sposobie pielgrzymowania mojego, iżem był dysgracjowany u nowego dworu. Nie śmiał zrazu rozrzewniać mnie wypytywaniem o przyczynach i okolicznościach. To gdy postrzegłem, opowiedziałem mu szczerze, co się ze mną stało; zaczął mnie więc cieszyć, na koniec ofiarował wszelkie usługi, i skutecznie: skoro albowiem stanęliśmy w Kartaginie, przyjęty do jego domu, zastałem gotowe wszystkie sprzęty, których mi tylko do uczciwego obchodzenia się potrzeba było, nadto w skrytej szufladce stolika mojego sześć grzywien złota z tą kartką: „Ten, który tak mały upominek ofiaruje, czci cnotę nieszczęśliwą”. (...)

Dobrze mi było w domu mojego przyjaciela; gdy zaś postrzegłem, iż bez naprzykrzenia osieść tam i przebywać mogłem, postanowiłem u niego resztę dni starości mojej przepędzić.

Handel Hannona był niezmierny. Każdy prawie wiatr okręty jego do portu Kartaginy przypędzał. Darzyło mu się wszystko, a tak bogactwy szafować umiał, iż mu nikt szczęścia nie zazdrościł. W młodym wieku zwiedził był rozmaite kraje, odwiedzał je zaś nie tylko jak kupiec, ale jako obywatel celniejszy wolnego państwa, wszędzie uważając z pilnością naturę rządu, prawne ustawy, zwyczaje narodów; jako filozof, pilną uwagą rozmaitość charakterów ludzkich roztrząsał; zgola ten zacny i chwalebny mąż tak umiał korzystać ze wszystkich okoliczności życia swojego, iż się stał ojczyźnie pożytecznym, familii zdatnym, przyjaciółom szacownym, współobywatelom miłym. W jego domu przepędzone lata dwadzieścia trzy dotąd są najśłodszą epoką życia mojego. Przyszedł na koniec termin życia jego, ludzkości konieczny, mnie i wszystkim, którzy go znali, fatalny.

Nie mogąc wytrwać w tym miejscu, gdzie mi wszystko stratę przyjaciela mojego przypominało, zabrawszy znaczną sumę pieniędzy,

szedłem do portu, wsiałem w pierwszy okręt, który z niego wychodził, nie pytając się nawet, gdzieśmy żeglować mieli.

Jużeśmy bardzo daleko od brzegów byli, gdy się dowiedział, że okręt, na który wsiałem, płynął do Hiszpanii, gdzie w południowej kraju tego części, Betyce, mieli Kartagińczykowie osady swoje. Ucieszyłem się z tego, iż mi się zdarzyła sposobność poznać kraj nie tylko naówczas kruszcami złotymi, ale łagodnością powietrza i obfitością ziemi sławny i znakomity. Że zaś nie byłem tam znajomy, obrałem sobie porę tamtejszego przemieszkiwania do zażycia mojego balsamu, ile że już zbliżałem się do lat ośmdziesiąt.

Przebywszy Cieśninę Herkulesową stanęliśmy u portu Gades, który teraz Kadyks zowią. Niedługo w tym miejscu bawiąc, kupiwszy konia, jechałem w głębsz kraju, szukając miejsca odludnego, gdziebym albo odmłodniał, albo życia dokonał. Po kilkudniowej podróży wjechałem między góry, które naówczas zwano Orospeđa, teraz Sierra Morena. Przez dni kilka szukałem jak najskrytszego miejsca; znalazłem podobne nieco do owego, gdzie pierwszy raz odmłodniał. Opisawszy więc przypadki życia, dzielność balsamu, czyniąc tego, które by moje ciało znalazł dziedzicem wszystkich dostatków, 25 dnia lipca roku przed Narodzeniem Pańskim 254, olimpiady 131, właśnie o samym zachodzie słońca, między bojaźnią a nadzieją, podobną, ile mogłem miarkować, cząstkę owego balsamu włożyłem w usta i połknąłem. Smak niewymowny, którym uczuł, uczynił mi nadzieję, że balsam dzielności swojej bynajmniej nie stracił; i gdy po śnie twardym albo raczej zamarcu pierwszy raz oczy otworzył, wstałem letki i rzeźwy, a pobiegłszy do wody, zobaczyłem się w porze wieku piętnastoletniego. Że zaś właśnie słońce naówczas zachodziło, wniosłem sobie stąd, iż pora odmiany przez godzin dwadzieścia cztery trwać mogła. Podziękowawszy z najwyższym serca wynurzeniem Opatrzności Boskiej za tak wielkie dobrodziejstwo, zastanowiłem się myślą nad dalszym sposobem życia, a żem się przedtem zwał Orospejs, postanowiłem odmienić przezwisko i zwać się Eulamidas.